

Dr hab., prof. UW Halina Walentowicz

Kierownik Zakładu Filozofii Społecznej

Instytut Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego

Recenzja rozprawy doktorskiej magistra Tomasza Stelmacha

pt. „Miłość jako terażniejszość. N. Luhmann wobec tradycyjnej koncepcji miłości”

Pan magister Tomasz Stelmach podejmuje w swej pracy doktorskiej zagadnienie miłości, które w opracowaniach historycznofilozoficznych jest poruszane stosunkowo rzadko. Wygląda na to, że historycy filozofii nie przypisują temu zagadnieniu większej wagi teoretycznej, a przecież klasycy filozofii różnych epok mieli na temat miłości niemało do powiedzenia. Dysertacja Tomasza Stelmacha daje temu świadectwo, choć warto zaznaczyć, że jego przedsięwzięcie ma prócz teoretycznego także praktyczny aspekt. Można sądzić, że Doktorantowi leży na sercu nie tylko teoria miłości, ale i – a może nawet przede wszystkim – sprawa emancypacji miłości w życiu każdego z nas. Wyzwolenie miłości z opresji społeczno-kulturowych kalek, wydobywanie dyskursu miłosnego z ram metafizycznych założeń, doktrynalnych tabu, stygmatyzujących wzorców, restrykcyjnych norm etycznych i prawnych, uwolnienie przeżywania i praktykowania miłości od presji obyczajów, odłożenie do lamusa historii kultury mitów, przewyciężenie związanych z nimi przesądów i uprzedzeń – oto, jak się zdaje, nadrzędny cel przyświecający jego zamysłowi.

Żyjąc w późnym kapitalizmie, który uprzedmiotawia i instrumentalizuje relacje międzyludzkie, człowieka obraca w funkcjonariusza i do cna funkcjonalizuje jednostkę, trudno odmówić Autorowi racji, gdy twierdzi, że „jednostce pozostaje w tym świecie walka o jednostkę, o indywidualium będące nią lub kimś innym, ale zawsze kimś rozpoznanym” (s. 282). Apel o podjęcie takiej walki wydaje się aż nadto zrozumiały i ze wszelkich miar słuszny. A zgodziwszy się z magistrem Stelmachem, że „miłość powinna być sanktuarium naszej i cudzej indywidualności, nie polem uprawy zewnętrznej ideologii przetrwania gatunku” (s. 283), widzę i doceniam to, że na kartach tej rozprawy toczy się gra o wysoką stawkę. Opowiadam się więc zdecydowanie za przeprowadzeniem tego – jak to określa Autor – „eksperymentu myślowego”.

Praca w ogólności sprawia wrażenie pisanej z pasją, *con amore*, nie dla samego stopnia. Magister Stelmach potraktował swe zadanie bardzo poważnie. Aczkolwiek bohaterem jego dysertacji jest Niklas Luhmann i na nim skupia się uwaga Doktoranta, koncepcja miłości niemieckiego socjologa została usytuowana w szerokim kontekście najróżniejszych mniej lub bardziej tradycyjnych ujęć miłości, które zapisały się w naszej kulturze, nie tylko za sprawą filozofów. Obszerna i – co warto zaznaczyć – interdyscyplinarna bibliografia dowodzi dobrej orientacji Autora w literaturze przedmiotu i wskazuje na zamiar panoramicznego, wielowymiarowego ujęcia tematu. Według mojej oceny realizacja tego ambitnego zamierzenia powiodła się częściowo.

Początek jest wielce obiecujący. We Wstępie Tomasz Stelmach ujawnia intencję tkwiącą u podstaw jego badawczego projektu, jaką było naukowe podejście do pojęcia miłości, tj. metodyczne jego przestudiowanie, skoncentrowane nie na subiektywnych konotacjach, lecz społeczno-

kulturowych odniesieniach „najwyższej formy ludzkiej uczuciowości”. Zapowiada realizację swojego przedsięwzięcia pod hasłem: „Miłość jako teraźniejszość. N. Luhmann wobec tradycyjnej koncepcji miłości” w trzech etapach, które znalazły swoje odpowiedniki w trzech rozdziałach dysertacji.

W rozdziale I, zatytułowanym „Pojęcie miłości w kulturze i sztuce”, poddaje analizie historyczno-kulturowy system nadzoru i kontroli ludzkiej intymności, wskazując mechanizmy, za pomocą których od zarania dziejów strażnicy *status quo* kanalizowali, dyscyplinowali i sankcjonowali tego potencjalnego „wroga porządku społecznego”. Stawia tezę, iż kalki stworzone w toku dziejów służące patriarchalnej kulturze za narzędzie płciowej polaryzacji władzy, wciąż modelują naszą uczuciowość. Relacjonuje przebieg uczuciowej rewolucji, która kobietę upodmiotowiła i odzyskała dla miłości. Zwraca uwagę na ambiwalentne konsekwencje tego przełomu, któremu utorowały drogę – egalitaryzujące relacje międzyludzkie – przemiany ekonomiczne, polityczne, na równi z rozwojem nauki i postępem technologicznym. Z jednej strony kobieta przestała być żywym inkubatorem uwięzionym w opresyjnej instytucji małżeństwa i rodziny, doszło do liberalizacji seksualności i autonomizacji wyboru partnera a mity kształtujące sferę uczuć w przednowoczesności straciły swą obywatelską moc. Z drugiej strony pojawia się tendencja do dehumanizacji i anihilacji miłości poprzez sprowadzenie uczuć wyższych do derywatu biologiczno-chemiczno-psychologiczno-endokrynologicznego popędu tudzież poczytywanie ich za kulturowy fantom, społeczny konstrukt grający rolę raczej listka figowego dla zwierzęcości naszej prokreacji, niż wyrażający autentyczną ludzką potrzebę.

Rozważania Autora zawarte w tym rozdziale mają jednak umiarkowanie optymistyczną wymowę, gdyż nie wyklucza on, że proces społeczno-kulturowo-

techniczny niosący ze sobą śmiertelne zagrożenie dla najintymniejszej z ludzkich relacji okaże się jednak „nowym otwarciem”; bo gdy relacje miłosne pozbędą się piętna utilitaryzmu, gdy równorzędni partnerzy zdejmą kulturowe kostiumy, zerwą społeczne maski, to odsłonią własne oblicza, co może zaowocować spontanicznością uczuć i pojawieniem się dyskursu miłosnego w przestrzeni publicznej.

I część dysertacji magistra Stelmacha odznacza się przejrzystą strukturą, logiczną spójnością argumentacji, bogactwem i wielowątkowością treści. W toku swych wywodów Autor nawiązuje i ustosunkowuje się do licznych pozycji z szerokiego zakresu literatury przedmiotu; w rozległym i różnorodnym materiale źródłowym obejmującym swym zasięgiem nauki szczegółowe – jak psychologia, socjologia, antropologia, pedagogika, seksuologia – ale i krytykę literacką a także poezję i prozę, porusza się śmiało, swobodnie, ze znajomością rzeczy.

W rozdziale II Doktorant ogranicza swe eksploracje do filozoficznych teorii miłości. Prezentuje tu mnogość stanowisk i poglądów, które stara się wprowadzić uporządkować według jakiegoś kryterium merytorycznego, ale trudno uznać, że te starania przyniosły zadowalający rezultat. Bez troski o chronologię, a więc i *signum temporis*, nie zważając na nurt czy szkołę, konstelację ideową czy orientację światopoglądową, wydobywa ze spuścizny upatrzonych postaci interesujące go momenty i zestawia razem, tworząc mozaikę, która nie układa się w żaden czytelny wzór. Nie znajduję odpowiedzi na pytanie o cel i sens zasufladkowania Bakunina ze św. Tomaszem, Hume'a z Wojtyłą, Feuerbacha z Sołowiowem, Arystotelesa ze Stróżewskim itd. Nawiasem mówiąc, dziwić może, że w ramach tej klasyfikacji tak po macoszemu została potraktowana miłość mądrości. Jakkolwiek Autor wspomina o Platonie i

miłości platonicznej, nie wyodrębnia kategorii mądrości jako modusu filozoficznego namysłu nad miłością.

Jedyny wniosek, jaki się nasuwa po lekturze tej – dość zresztą nużącej – części pracy jest taki, że bardzo różne pomysły przychodziły różnym filozofom do głowy, gdy poddawali refleksji miłość. Doktorant wyraźnie postawił tu na ilość, co nie mogło nie przynieść uszczerbku jakości. Urzeczony wielością i różnorodnością elementów tej dziwnej układanki, przedstawia przywoływane koncepcje pobieżnie i ogólnikowo (nie zawsze sięgając do tekstów samych klasyków, niekiedy zadowala się przekazami z drugiej ręki), co prowadzi do powierzchowności interpretacji a czasem wręcz do dezinterpretacji, jak np. w wypadku Spinozy. Z perspektywy rozdziału III będzie można zobaczyć, czemu ten karkołomny zabieg ma służyć. Otóż magister Stelmach przygotowuje kontrastowe tło dla uwidocznienia walorów Luhmannowskiego ujęcia miłości, które – jak zaznacza już we Wstępie – stawia ponad wszystkie inne. Myślę, że łatwiej by ten cel osiągnął, gdyby zamiast dokonywać hurtowego przeglądu, skupił się na wybranych elementach tradycji filozoficznej, znaczących duchem czasów minionych, które z tego względu można uznać za paradygmatyczne, a następnie skonfrontował je ze stanowiskiem Luhmanna ustanawiającym inny paradygmat – miłości jako terażniejszości – zgodny z kolei z duchem czasów najnowszych.

W rozdziale III Doktorant rekonstruuje Luhmanna koncepcję miłości, uwzględniając jej aspekt negatywny (czym miłość nie jest) i pozytywny (czym *naprawdę* jest). Następnie konfrontuje stanowisko niemieckiego socjologa z tym, co na temat miłości ma do powiedzenia europejska tradycja kulturowa. Odnotowuje nieliczne podobieństwa i liczne różnice, przy czym jest rzeczą charakterystyczną, że mówiąc o wielości najrozmaitszych w istocie koncepcji,

używa liczby pojedynczej – sprowadza je do wspólnego mianownika „tradycyjnego ujęcia miłości”. Wydaje mi się, że praca zyskałaby, gdyby Autor z tego fragmentu zrezygnował, i to nie tylko dlatego, że nie wnosi on niczego specjalnie nowego, przypominając na ogół to, co zostało już ustalone w rozdziale II, więc w tym zbędnym powtórzeniu można się dopatrzeć defektu strukturalnego. Przede wszystkim chodzi o kwestię merytoryczną: wyszłoby pracy na dobre, gdyby zamiast podejmować desperacką próbę uwiarygodnienia mniemania, że błędziliśmy w mrokach nieświadomości, czym jest *prawdziwa* miłość, dopóki nie oświecił nas Luhmann, Doktorant poświęcił więcej uwagi samemu bohaterowi swojej rozprawy, tzn. bardziej się przyłożył do przedstawienia jego stanowiska filozoficznego, gdyby koncepcję miłości mocniej osadził w teorii systemów, o której owszem wspomina, ale bardzo skrótowo. W Bibliografii figuruje 11 pozycji autorstwa Luhmanna, ale w treści rozprawy Autor nawiązuje do 3.

Właśnie dlatego, że – w zgodzie ze Stelmachem – całym sercem jestem za rozumieniem miłości jako komunikacyjnej interpenetracji, uważam, że ta preferencja – nie tylko moja i jego, ale wspólna ludziom nowoczesnym – zasługiwałaby na rozpatrzenie. W odróżnieniu od Doktoranta nie przypisywałabym jednak temu pojęciu miłości monopolu na afirmację człowieczeństwa, ani nie upatrywałabym w nim proberza słuszności innych konceptów, natomiast – idąc tropem Hegłowskim (filozofia to epoka ujęta w myślach) – zapytałabym, dlaczego jesteśmy skłonni tak właśnie a nie inaczej sądzić, tzn., co w nas i w naszym świecie warunkuje takie nastawienie.

Szkoda, że Autor, który jest fanem Luhmanna, ale nie do końca się z nim zgadza [stwierdza bowiem, że „teoria Luhmanna nie jest kompletna, ani tym bardziej skończona” (s. 284), że „nie jest pozbawiona wad” (s.8)], nie podjął z

niemieckim socjologiem dyskusji, by wyłożyć swe zastrzeżenia i kontrargumenty. W rozdziale poświęconym Luhmannowi czytamy: „Chcąc prawdziwie kochać, człowiek obojga płci Niklasa Luhmanna nie tylko nie powinien klaniać się ideologicznym wytworom kultury, lecz wręcz ma obowiązek konsekwentnie brać je w wyrazisty nawias (choć dyskusyjnym pozostaje pytanie, w jakim stopniu, lub wręcz czy w ogóle, jest to możliwe)” (s. 252). Wyrażona w nawiasie wątpliwość nie znalazła odzwierciedlenia w rozważaniach Autora. Czy można mieć nadzieję na powstanie jakiejś enklawy osobowych relacji w świecie bezosobowości, jak tę bezosobowość – która przecież nie tylko atakuje nas z zewnątrz, ale i przenika na wskroś, penetrując nasze wnętrza – przełamać, w tej kwestii Autor nieudziela wskazówek. Z tą kwestią wiąże się kolejna. Zdaniem Autora „miłość nie powinna być zapośredniczona” (s. 259). Lecz czy w świecie kultury istnieje coś „bezpośredniego”? Czyli „naturalnego”? A jeśli nie, to o czym właściwie jest tu mowa?

Intencja Autora wydaje się jasna. Zależy mu na upowszechnieniu i akceptacji przeświadczenia, że miłość to sprawa dwojga, do której instytucje społeczne i agendy kultury nie powinny wtykać swojego nosa, bo jest to warunek autonomii i spontaniczności, bez których o miłości (*prawdziwej*) nie może być mowy. Ale to, co dla nas „bezpośrednie” z perspektywy naszych potomnych będzie zapewne wyglądało inaczej. Krótko mówiąc, mankamentem sposobu ujęcia tematu przez Autora wydaje mi się pewien niedostatek analityczności, który sprawia, że recenzowana rozprawa ma charakter głównie opisowo-deklaratywno-postulatywny.

Jeśli chodzi o stronę formalną pracy, muszę przyznać, że dostrzegłam sporo usterek różnego rodzaju: stylistycznych, składniowych, interpunkcyjnych a

nawet ortograficznych. Konsternację budzą literówki w pierwszyligowych nazwiskach, jak: Klossowski, Lacan, Badiou, Søren Kierkegaard czy Jasińska-Kania. Niektórych cytatów i odniesień do źródeł nie udało mi się zlokalizować. Nie wiem dlaczego, Engelsowi zostało przypisane współautorstwo „Rękopisów...”, a Marksowi – „Pochodzenia rodziny...” (s. 140).

Mimo wskazanych zastrzeżeń oceniam pracę doktorską P. magistra Tomasza Stelmacha pozytywnie i wnoszę o dopuszczenie go do dalszych etapów przewodu doktorskiego.

Halina Walentowicz

